

## GOMUŁKA I JEGO PARTIA

**W** OBSZERNYM i zagmatwanym przemówieniu, będącym sprawozdaniem Komitetu Centralnego P.Z.P.R. na III zjazd partii, Gomułka pomiędzy mnóstwem innych spraw poruszył naczelną zagadnienie naszego położenia: sytuacji Polski w bloku państw socjalistycznych i dalsze jej przeznaczenie w systemie polityki tego bloku.

Z wywodu, będącego wykładnią komunistyczną genezy Polski powojennej wynika, że „Polska odrodziła się jako państwo niepodległe, w swoich sprawiedliwych granicach dzięki wcieleniu w życie proletariackiego internacjonalizmu, dzięki sojuszowi i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, dzięki wprowadzeniu jej na drogę socjalizmu”.

W pamięci pierwszego sekretarza PZPR zatarła się widocznie dość ważna dla całokształtu sprawy okoliczność, że na początku dramatu polskiego było porozumienie Hitlera ze Stalinem i że geneza „sprawiedliwej” granicy wschodniej wynikała z paktu Ribbentrop—Mołotow. Zatarcie się w jego pamięci i ta okoliczność, że wprowadzenie Polski na „drogę socjalizmu” odbyło się pod bagnetami okupacji sowieckiej, przez narzucenie wyczerpanemu walką krajowi rządu przybyłego z Moskwy w taborach czerwonej armii. Partia komunistyczna, która na skutek tej „przyjaznej, proletariacko - internacjonalnej” operacji objęła dyktaturę w Polsce, od pierwszego dnia stała się posłusznym narzędziem Związku Sowieckiego, jego agenturą, powołaną do administrowania krajem w myśl dyrektyw udzielanych z Moskwy, wynikających z ogólnego planu imperialistycznej polityki sowieckiej. Gomułka rzecz prosta o tym nie wspomina, wyjaśnia natomiast, że „komunistyczna partia Związku Radzieckiego cieszy się w gronie równych sobie partii komunistycznych szczególnym autorytetem i zajmuje w nim pozycję czołową. Związek Radziecki bowiem to najpotężniejsze państwo socjalistyczne, któremu ludzkość zawdzięcza rozgromienie hitlerystów, uratowanie narodu przed faszystowską niewolą, a jeśli chodzi o naród polski przed biologicznym wyniszczeniem. Związek Radziecki to centralny nerw światowego systemu socjalistycznego, epoka wszystkich krajów socjalistycznych i nadzieja całej postępowej ludzkości na uratowanie świata przed otchłanią wojny atomowej”.

Te dytyramby potwierdzają tylko bezsporny fakt hegemonii sowieckiej w bloku państw socjalistycznych, nie przeszkadza to jednak Gomułce wołać, że „stan ten nie oznacza — jak trąbi reakcyjna propaganda — że komunistyczna partia Zw. Radzieckiego kieruje międzynarodowym ruchem komunistycznym, że narzuca innym partiom swoją wolę. Każda partia jest suwerenną i rządzi się sama. Kieruje się tylko tą samą ideologią, którą kieruje się komunistyczna partia Związku Radzieckiego — ideologią marksizmu-leninizmu”.

Dziwny zaiste wywód w świetle faktów, które wszyscy mamy w świeżej pamięci. Czy to tak dawno czolgi sowieckie zajmowały strategiczne pozycje na przedmieściach Warszawy, Łodzi i Poznania nie tylko w celu stłumienia ruchu wyzwo-

leńczego społeczeństwa polskiego, ale również uniemożliwienia temuż Gomułce powrotu do władzy w „suwerennej” partii komunistycznej? Czy to tak dawno samolot z Moskwy przywiózł do Warszawy całe grono kierownicze „centralnego nerwu światowego systemu komunistycznego” w osobach Chruszczowa, Mołotowa, Mikołajowa, Kaganowicza, Koniewa i innych dla zrobienia porządku w szeregach „bratniej i suwerennej” partii i zapewnienia nienaruszalności ideologii marksizmu-leninizmu, którą kieruje się KPZR? Czy wreszcie tak dawno świat został wstrząśnięty rzezią budapesztańską, krwawym zgnieciem rewolucji węgierskiej, w której szeregach znalazło się sporo wyznawców obozu komunistycznego?

W świetle tych faktów niezależność i suwerenność partii komunistycznych w państwach satelickich należy włożyć między bajki, ogranicza je bowiem magiczna formuła ideologii marksizmu-leninizmu, wyposażona w sankcję sowieckiej interwencji zbrojnej, dobrze zresztą znanej Gomułce; przypomniał ją w okresie wyborczym, przestrzegając, że skreślenie kandydatów komunistycznych z list wyborczych może grozić wykreśleniem Polski z mapy politycznej Europy. Wykładnia tej ideologii zależna jest od potrzeb polityki sowieckiej i jej treść zmienia się stosownie do okoliczności. W miarę trudności zewnętrznych lub wewnętrznych, przed jakimi stają Sowiety, granice niezależności satelickich partii komunistycznych mo-

gą się nieco rozszerzać, aby po opanowaniu tych trudności znowu się kurczyć. To co obecnie dzieje się w Polsce wskazuje na to, że Gomułka został w Moskwie przywołany do porządku i wyrównuje w kierunku linii zajętej ostatnio przez Chruszczowa.

W Moskwie podobnie jak w warszawskiej kwaterze komunizmu bez wątplenia zdają sobie sprawę z istotnej postawy społeczeństwa polskiego. Rozumieją tam, że komunizm w Polsce nie zapuścił korzeni, że jest znienawidzony przez szersze warstwy i że nie można liczyć na współdziałanie narodu polskiego w imię ideologii marksizmu-leninizmu z zamierzeniami światowej strategii sowieckiego imperializmu. W poszukiwaniu środka na polską niezależność sądu i nieugięte stanowisko w obronie własnych interesów narodowych wypada sięgnąć do wspólnych, już nie z komunizmem ale z Rosją zagadnień, do spraw, które dla obu narodów zaczynają w chwili dzisiejszej nabierać postać niepokojącą.

Zalecając obecny stan rzeczy w Polsce jako jedyne w jej położeniu pozytywne wyjście, Gomułka rozwinął się szeroko nad niebezpieczeństwem niemieckim i mówił z naciskiem o konieczności przymierza z Rosją wobec narastającego rewidjonizmu niemieckiego. Charakter i rozwój tego zjawiska na ogół ocenia podobnie jak wszyscy w Polsce i pod tym względem łatwo znajduje wspólny język z opinią naszego społeczeństwa. Jako komunista widzi, że w szerokich ramach stra-

tegi politycznej Sowietów, obliczonej na ujarzmienie Zachodu i zaprowadzenie rewolucyjnej hegemonii w Europie, wyrasta nowe zagadnienie niebezpiecznej przeszkody w postaci odradzającego się militarysty niemieckiego i rosnącego wpływu Niemieckiej Republiki Federalnej na politykę państw Paktu Atlantyckiego. Zdaje się rozumieć, że z biegiem czasu niebezpieczeństwo to zgrozi nie tylko dalszym planom polityki sowieckiej, ale gościć będzie w żywotne interesy narodu rosyjskiego, w bezpieczeństwo jego obszaru państwowego i jego pozycji politycznej. W imię tego wspólnego niebezpieczeństwa nawołuje Gomułka do trzymania się Rosji i poddaje zewnętrzną politykę polską bezapelacyjnie polityce sowieckiej, nazywając taki stan rzeczy przymierzem polsko-sowieckim.

Gotliwość komunistyczna i wiara w „proletariacki internacjonalizm” zaciemnia Gomułce pole widzenia i miesza pojęcie przymierza z pojęciem protektoratu. W każdym przymierzu państwa poza umówioną wspólną sferą ściśle określonych zadań zachowują swobodę swojej polityki, treści której przeciw przymierzem wyczerpać nie może. W wypadku Polski pod rządami Gomułki swoboda taka w najmniejszym stopniu nie istnieje. Kraj nasz nie tylko zmuszony jest do znoszenia narzuconego mu ustroju, ale wbrew swej woli wpychany jest w całokształt antyzachodnich zamierzeń i działań sowieckich, niejednokrotnie sprzecznych z żywotnymi jego interesami. Gdyby Polska nie była

niepodzielnie związana z imperialistyczną polityką sowiecką, gdyby ten związek ograniczał się jedynie do zagadnienia rewizjonizmu niemieckiego, znalazłaby na Zachodzie niejedną możliwość pomniejszenia tego niebezpieczeństwa, niejedną okazję do gruntownej poprawy swego stanu ekonomicznego i niejedną sposobność do odegrania poważnej roli współczynnika pokoju i stabilizacji Europy.

Gomułka i jego partia dalecy są od takiego rozumienia rzeczy i od woli działania w kierunku zdobycia dla Polski, wobec pogłębiającego się antagonizmu sowiecko-niemieckiego, pozycji sprzymierzeńca — różnej zasadniczo od roli satelity. Przy całej trudności położenia, w jakim Kraj się znalazł „dzięki wprowadzeniu go na drogę socjalizmu”, działania takie a przynajmniej poważna jego próba byłaby dużym krokiem naprzód w dziedzinie obrony przed rosnącym niebezpieczeństwem niemieckim. Każdy rząd, bez względu na wyznawaną ideologię, nie obciążony grzechem pierworodnym agenturalnej zależności, pokusiłby się o taką próbę i wobec przemian zachodzących w świecie powojennym wcześniej czy później celu swego by dopiął. W Polsce, w obecnie panujących stosunkach ten trudny obowiązek spada na społeczeństwo. Jego postawa, jego wola obrony interesów narodowych, jego nieprzeczane dążenie do prawdziwie niepodległego bytu doprowadzą do takiego ułożenia stosunków, w którym Polska znajdzie należne jej miejsce.

Węzła, który się zawiązał nad Łabą, nie da się rozsupłać bez przywrócenia Polsce swobody, uwolnienia jej od dobrodziejstw „proletariackiego internacjonalizmu” i troskliwej opieki „centralnego nerwu światowego systemu komunistycznego”. Polityką w ostatecznym rozrachunku kierują nie kancelarie dyplomatyczne i sztaby generalne, ale twórcze procesy dziejowe, które — jeśli chodzi o Europę — od dawna przybierają postać zasady narodowej i rzeźbią polityczną mapę kontynentu w myśl konsekwencji tej zasady.

Przysłuchajcie się głosowi niezłomnej woli narodu i nieuchronnych przemian w Europie nie będzie taka, o jakiej mówił Gomułka na zjeździe swojej partii, rozwodząc się nad rolą naszego kraju w bloku socjalistycznym i nad jego przeznaczeniem w polityce tego bloku. Będzie ona zgodna z przeznaczeniem 30-milionowego narodu, mającego za sobą tysiącletnią historię, bogaty dorobek cywilizacyjny i własną niezależną myśl polityczną.

## CO SŁYCHAĆ...

### W PARYŻU

Na konferencji prasowej w dniu 25 marca br. gen. de Gaulle w sposób niezmiernie precyzyjny sformułował stanowisko Francji wobec najważniejszych zagadnień politycznych chwili obecnej. W sprawie kryzysu berlińskiego de Gaulle zajął stanowisko sztywne, zbliżone bardziej do poglądów kanclerza Adenauera i prezydenta Eisenhowera aniżeli do niebezpiecznie elastycznych koncepcji angielskich. Przy tej okazji de Gaulle podkreślił zasady polityki francuskiej wobec Niemiec. Opiera się ona na trzech założeniach głównych: 1-o dzisiejsze Niemcy bynajmniej Francji nie zagrażają; 2-o są one jedną z podstawowych części składowych Europy i świata; 3-o zjednoczenie Niemiec jest naturalnym przeznaczeniem narodu niemieckiego.

Zagadnienie zjednoczenia Niemiec zostało jednak od razu jasno sprecyzowane i ograniczone w swoim zasięgu. Musi ono być zjednoczeniem — powiedział gen. de Gaulle — które nie pociągnie za sobą zakwestionowania obecnych granic Niemiec na zachodzie, wschodzie, północy i południu. I zjednoczone państwo niemieckie winno być włączone do organizacji ogólnoeuropejskiej. Do tej organizacji z czasem wszystkie narody europejskie miałyby, według de Gaulle’a, należeć.

Oświadczenie prezydenta Francji dowodzi, że polityka francuska bynajmniej nie porzuciła swych zainteresowań szerszych, ogólnoeuropejskich. Nowa zaś współpraca francusko-niemiecka bynajmniej nie jest celem samym w sobie, ale fragmentem europejskiej polityki Francji.

### W WASHINGTONIE

Wizyta premiera Macmillana w Waszyngtonie i zamknięte rozmowy jego z prez. Eisenhowerem w Camp David pozostawiły tyle niejasności,

że nie wiadomo, z jakim programem Zachód pójdzie na konferencję ministrów spraw zagranicznych w dniu 11 maja i późniejszą ewentualną konferencję na szczycie. Główna propozycja premiera brytyjskiego — jak się zdaje — dotyczyła „zamrożenia” sił zbrojnych na określonym obszarze w środku Europy. Koncepcja ta nie została dotąd jasno sformułowana. Mowa była najpierw o ograniczeniu kontroli sił zbrojnych po obu stronach linii dzielącej Europę. W ostatniej fazie mówił się o tzw. zamrożeniu, choć i to pojęcie nie jest ściśle, jeżeli wierzyć niektórym komentatorom. W wypadku bowiem sił zbrojnych niemieckich zamrożenie to miałyby odnosić się nie do obecnego stanu ich sił zbrojnych, ale do wyższego pułapu, uwzględniającego planowaną ich obecnie rozbudowę. Jak niektórzy dziennikarze amerykańscy podkreślili, Amerykanie przyrzekli jedynie przedstawić propozycję Macmillana w tej dziedzinie. To samo raczej chłodne stanowisko zajęły czynniki waszyngtońskie wobec nowych propozycji brytyjskich w sprawie zawieszenia i kontroli doświadczeń nuklearnych. Jak wiadomo, rokowania toczone się w Genewie na ten temat utknęły na martwym punkcie od dłuższego czasu.

W ogóle trudno jest uchwycić i zrozumieć tendencję brytyjską do przerzucenia ciężaru najbliższych negocjacji Wschód—Zachód na zagadnienie rozbrojenia. W istocie rzeczy bowiem inicjatywa Chruszczowa w zagadnieniu Berlina i w zagadnieniu traktatu pokojowego z Niemcami jest propozycją par excellence polityczną i polityczne cele ma na oku. Rozumowanie, według którego jakieś choćby drobne ograniczenia zbrojeń zmniejszą tzw. napięcie i z kolei ułatwią rozwiązanie spornych problemów politycznych jest czystą iluzją. Nie może być rzeczą dobrą, jeżeli w obecnej

krytycznej sytuacji w Europie ulega się iluzjom.

### W BERLINIE

Według doniesień dziennikarzy amerykańskich nie ma dotąd uzgodnionego planu zachodniego w sprawie Berlina. Prez. Eisenhower w swojej mowie powiedział, że Ameryka nie ustąpi ani na jeden cal z dotychczasowej swojej pozycji. Natomiast Anglii, choć w oświadczeniach oficjalnych zajmują równie sztywne stanowisko, rzekomo gotowi byłiby zgodzić się na znaczne zmiany w pozycji sił alianckich w Berlinie zachodnim w zamian za gwarancje swobodnego do niego dostępu. Wśród tych zmian możliwych do przyjęcia przez Zachód wymieniane są: zmniejszenie garnizonów alianckich, wprowadzenie w jakiejś postaci organizacji Narodów Zjednoczonych i dobrowolne zlikwidowanie w zachodnim Berlinie ośrodków propagandy antykomunistycznej.

Ustępstwa te, jeżeli by miały być rzeczywiście zaofiarowane stronie sowieckiej, stanowiłyby nie bylejakie zwycięstwo polityki Chruszczowa.

## MATERIAŁY, ŻYWNOSĆ LEKARSTWA do KRAJU

WYSŁEŻ NAJKORZYSTNIEJ PRZEZ

## P.C. STORES

STEFAN BREWKA

18, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S. W. 7

Cennik, zawierający ponad 700 pozycji, wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

WIKTOR TROŚCIANKO

# ZMOWA MILCZENIA

TYGODNIK „ODRA“ zajął się niedawno analizą bardzo niepokojącego zjawiska, które określili znową milczeniem. Myślę, że uwagi autorki artykułu Edwardy Opoczyńskiej zasługują zarówno na szerszą znajomość problemu, jak również na doprowadzenie konkluzji, których w artykule tym nie było. Tym bardziej, że tak zwana zмова milczenia nie ogranicza się tylko do spraw sądowych, a jest częścią innych kryzysów społecznych, nurtujących we wszystkich warstwach. Na czym polega ta ważna zмова milczenia, przedstawiona w tygodniku „ODRA“.

Jest to przede wszystkim kryzys obiektywnego świadka w postępowaniu sądowym, a zatem kryzys obiektywnej prawdy. Na przykładach bardzo drastycznych, wziętych z życia, autorka przedstawia ucieczkę naocznego świadka od procesu wykrycia i ustalenia przyczyn, wyrządzonej społeczeństwu i poczuciu sprawiedliwości. W ucieczce tej biorą udział nie tylko jednostki, naprzemiennie oczekiwane przez rzeczników dochodzenia sądowego, jako ci, którzy mają dać świadectwo prawdziwe. Nie tylko widzowie ciężkich zbrodni czy morderstw unikają zetknięcia się z aparatem sprawiedliwości, jako świadkowie. Zmowa milczenia ogarnięta została — jak podaje autorka rozważań — także instytucje państwowe. Defraudanci i kombinatory, nawet napiętnowani we własnym środowisku pracy, otrzymują w zetknięciu się z wymiarem sprawiedliwości — nienagane świadectwo moralności osobistej i dobrych kwalifikacji zawodowych. Klasyfikacja dla tego kryzysu jest przykład świadectwa, wystawionego przez Gromadzką Radę Narodową zabójcy człowieka. Opinia brzmiała:

„Józef L. prowadził się tylko po linii partyjnej, udziela się społecznie. Moralność na poziomie. Spokojny, zbytniej chęci do alkoholu nie wykazuje. Wybory przeprowadzał aktywnie“.

Chodziło zaś o to, że ten „spokojny“, „udzielający się społecznie“ i „prowadzący się po linii partyjnej“ Józef L. zabił podczas krwawej bijatyki po zabawie, jednego z jej uczestników. Nie tylko bezpośredni i naoczni świadkowie uchylili się od zeznań — uchylili się także Gromadzka Rada Narodowa. Stwierdzając powszechność tego zjawiska — autorka artykułu pt. „Zmowa milczenia“ słusznie dochodzi do wniosku, że problem ten niesłychanie komplikuje pracę sądu, utrudnia ferowanie sprawliwych wyroków. Do tego miejsca z wywodami artykułu nie podobna się różnić. Jeśli jednak o nim mówimy — to jed-

nocześnie nie podobna ograniczyć się do samej rejestracji faktów. Nie można także zgodzić się na skwitowanie zjawiska, tak jak to w końcowych słowach uczyniła pani Opoczyńska. „Ten oportunistyczny stosunek do przestępców, ta dziwna solidarność świadczy o zaniku poczucia krzywdy, wyrządzonej społeczeństwu. Stanowi realne zagrożenie więzi społeczeństwa z aparatem wymiaru sprawiedliwości“.

Jest to niewątpliwie kryzys zaufania do kryteriów sprawiedliwości, mających stanowić podstawę praworządności w systemie totalnym. Nie można bezkarnie podważać przez lata wartości społecznej prawdy obiektywnej, tak jak to czyniono przez lata powojenne do roku pięćdziesiątego szóstego. Wymiar sprawiedliwości został skompromitowany nie tylko w procesach politycznych. Skompromitowany został w samej konstrukcji aparatu sprawiedliwości, w jego całkowitym podporządkowaniu użytkowym interesom partii. Podstawą praworządnego społeczeństwa, mającego żywe poczucie sprawiedliwości, reagującego na krzywdę — jest sędzia o wysokich kwalifikacjach zawodowych i moralnych. Sędzia czujący za sobą absolutną moc prawa. Wiedzący, że w obronie prawa stanie za nim państwo z całą swoją siłą, społeczeństwo ze swą opinią i własną organizacją — poszczególne instancje sądownictwa. To, czego system rządzący Polską przez lat kilkanaście dokonał w organizacji wymiaru sprawiedliwości, było najcięższym ciosem — ciosem wymierzonym przede wszystkim w społeczeństwo. Sędzia, prokurator i adwokat stracili w tym okresie niewymierny procent swego autorytetu. Sąd stał się egzekutorem doraźnych interesów rządzącego przymusu. Krzywdą społeczną stawać się zaczęła pojęciem względny. Kryzys zaufania do systemu objął cały wymiar sprawiedliwości. W tym wypadku mówienie o oportunistycznym stosunku do przestępców jest diagnozą bardzo uproszczoną. Wiem, na to można odpowiedzieć argumentem październiką, naprawą Rzeczypospolitej, odbudową praworządności. Jak szeroko i jak głęboko poszedł ten proces odbudowy? Jaką satysfakcję otrzymało społeczeństwo za lata krzywdy? Jaką sprawiedliwość wymierzono sprawcom najcięższych nadużyć łamania prawa? Rehabilitacja pokrzywdzonych? Dobrze. Ale to tylko jedna strona zagadnienia. Gdyby nawet proces naprawy podjęty został głęboko i konsekwentnie — nie można zapomnieć, że jest to zbyt krótki okres czasu na odrobienie ogromu zła. Choroba nieraz spada na organizm człowieka nagle — leczenie, mądre

leczenie — trwa często daleko dłużej. Choroby społeczne należą do najbardziej przewlekłych. Diagnoza „oportunistyczny“ nieczyli tu nie załatwia. Wysoki autorytet prawa, wyłączenie obiektywnej prawdy trzeba udowodnić nie tylko w przewodzie sądowym. Czy dziś — w trzy lata po odwołaniu od „minionego okresu“ można szczerze, z ręką na sercu zapewnić społeczeństwu, że się to dzieje konsekwentnie, uczciwie, bez wahań?

A teraz inna część tego samego zjawiska — część daleko szersza. Kryzys wiary w sensowność tak zwanej rzeczywistości. Trwa w prasie i w radio dyskusja, mająca dać obraz pragnień i nastrojów młodego pokolenia. Tego samego, które przed trzema laty, a zwłaszcza w październiku pokazało wielki zasób patriotyzmu, solidarności z nurtem całego narodu w jego walce z krzywdą. Dziś znowu rejestruje się sygnały kryzysu wśród młodzieży. Kryzysu na tle zwątpienia. Audycja radia warszawskiego — „Fala pięćdziesiąt sześć“ przyniosła niedawno list młodego Polaka z Gdańska, list o bezsensie istnienia, pełen gorzkiego buntu przeciwko optymizmowi, jako czemuś szczerkowemu, czemuś, co jest przeciwne postawie młodego pokolenia — pokolenia ludzi, jak powiada autor listu, nie widzących sensu w życiu i starających się brać z niego co się da. „Fala pięćdziesiąt sześć“ pociesza się, że to stanowisko odosobnione, że na taki weltszmerz i katastrofizm chorowano w każdym pokoleniu jak świat jest wielki i stary. Nie sądzę, żeby można było to załatwić tak łatwym kontrargumentem. Zmowa milczenia społeczeństwa w wymiarze sprawiedliwości i kryzys zaufania do realności optymizmu w młodym pokoleniu — to części tego samego zjawiska: — rozbieżności pragnień narodu z tym co otrzymuje. Dysproporcja dążeń i wyników. Obietnica i zapewnienie — ze sprawdzianami. Pewnie, w każdym systemie takie dysproporcje są. Dystans między rzeczywistością i dążeniami jest rzeczą normalną. Chodzi o to, że w normalnym, zdrowym systemie politycznym i społecznym dystans ten nie przekracza granic wyznaczonych poczuciem sprawiedliwości i rozsądku. W normalnym, zdrowym ustroju samo społeczeństwo szuka środków zaradczych w momentach alarmowych. System, w którym środki te są w wyłącznej dyspozycji władzy, kryzysów zaufania uleczyć nie zdoła.

Wtedy następuje rzecz społecznie niebezpieczna — zмова milczenia. Zarówno ta ważna — sądowa, jak i ta szersza — sygnalizowana w młodym pokoleniu.

## ŻYCIORYS — FRAGMENT 21

# ROK 1915. LWÓW

Zima 1914—1915 była ciężka. Dom „Słowa Polskiego“, gdzieśmy na drugim piętrze mieszkali, ogrzewany był centralnie kaloryferem, o kupieniu zaś koks nie było mowy. Było więc zimno. Wstawiony przez poczciwego administratora Medycznego piecyk pozwalał nam korzystać z jednego tylko pokoju. Z aprowizacją było też źle. Obiady jadalśmy u Medycznych na trzecim piętrze. Ambicją wydawnictwa trochę nieroztropną było trzymać się dwu wydań dziennie, aczkolwiek zredukować musieliśmy wydanie wieczorne do dwu kartek. Chodziło głównie o telegramy z pola walk, a w ten sposób wyprzedzaliśmy inne dzienniki, a wychodziły ich we Lwowie kilka. Niedolą moją stało się to, że władze okupacyjne zakazały od wczesnego wieczora ukazywania się na ulicy. Wskutek tego telegramy do wydania porannego, sporządzanego w nocy, spadały całkowicie na mnie. Jedyny współpracownik, znający język rosyjski, Zygmunt Raczkowski daleko mieszkający, nie mógł w nocy nic pomóc. A była to robota męcząca, gdyż wszystkie bowiem miejscowości wymienione w telegramach, często zupełnie nie znane trzeba było wyszukiwać na mapie, aby się dowiedzieć, jak wygląda ich pisownia. Rosjanie bowiem, stosując transkrypcję fonetyczną, tak nazwy upraszczali, że na mapie (*Andreas Handatlas*)

trudno było je odnaleźć. Dla oka mojego była to kłeska, napisy bowiem w tak szczegółowym atlasie są bardzo drobne. Każda noc taka była dla mnie tak męcząca, jakbym brał udział w bitwach, które referowałem.

Na wiosnę się miało, kiedy mnie zobowiązano, abym w interesie miejscowego komitetu pomocy ofiarom wojny pojechał do Warszawy, Kijowa i Wilna, z funduszami bowiem było krucho. Zgodziłem się chętnie, ile że czułem potrzebę porozumienia się z Dmowskim i poinformowania władz stronnictwa o położeniu rzeczy w Galicji. W każdym z tych miast odbyły się z powodu mego przybycia licniejsze zebrania, na których referowałem położenie kraju i potrzeby. Najlicniejsze zebranie zwołano w Wilnie. Od polskich komitetów opiekuńczych pozyskałem znaczne zasiłki (przeszło 80 tysięcy rubli).

Na początku wojny powstało w Piotrogradzie na podstawie statutu towarzystwo polskie pod nazwą „Polskie towarzystwo niesienia pomocy ofiarom wojny“. Według statutu wolno mu było tworzyć oddziały w całej Rosji. Powstały też one wszędzie, gdzie było jakie takie skupienie życia polskiego. W guberniach południowo-zachodnich wołyńskiej, kijowskiej i podolskiej było tych oddziałów przeszło 20; najgłośniejsze z nich, centralne było kijowskie. Na czele jego

stał hr. Tyszkiewicz, wiceprezesem był Joachim Bartoszewicz. Biuro oddziału mieściło się w lokalu Banku polskiego tow. handlowego „Samopomoc“ na Kreszczatiku, 48. Oddział działał dopiero od paru miesięcy. Sekcje jego i podsekcje (skarbowe, rolne, doraźnej pomocy, mieszkaniowa, dochodów niestałych i in.) intensywnie pracowały, zakładając w Kijowie tanie kuchnie, przytulki, rozdając zapomogi. Wiele bowiem nagromadziło się w Kijowie zbiorów z okolic zajętych wojną, ludzi z Galicji przez wojnę tam zatrzymanych. Oddział gromadził fundusze i ziarno na zasiłki dla Królestwa i Galicji w miejscowościach dotkniętych skutkami wojny. Zamierzał rozwinąć specjalną agitację, aby składano zasiłki dla ludności polskiej w Galicji zachodniej, gdzie potrzeby były wielkie.

Kijów kilka tysięcy rubli przysłał już był przedtem na zasiłek Lwowu, teraz również złożył 7 tysięcy dla Komitetu Ratunkowego, a z przejęcia, jakie dla sprawy ratunku okazywał, można było mieć nadzieję, że wiele zdoła pomóc Galicji. Dotychczas Kijów zebrał około 200 tysięcy rubli; z tego 125 tys. złożył według statutu w centrali swojej w Piotrogradzie.

Ruch w biurze był znaczny, zwłaszcza gdy odbywały się wysyłanie z granic państwa obcych poddanych,

# ZATRUTA BRONŃ NARODOWEJ IDEOLOGII

„Imperia, doktryny, ustroje przemijają, naród trwa i odradza swoją cywilizację, swoje państwo, swoje stanowisko w świecie“. To zdanie z uchwaly ideowej Stronnictwa Narodowego na zjeździe centralnym, będące naszym wyznaniem wiary w naród, to nie tylko słowa. To przede wszystkim rzeczywistość, której mogą sobie nie dostrzegać koniunkturalni politycy, czy dziennikarze, ale która jest podstawą naszego stosunku do przyszłości narodu.

Której dziedziny się nie tknąć, komunizm niszczy wszystko, co tworzyły pokolenia. Ruiną grożą zabytki Krakowa i trzeba wysiłków prywatnych, by mury wawelskie konserwować. Niszczącej pamiętki narodowe, takie choćby jak pałac wilanowski, gdy jednocześnie propaganda mówi o „ocaleniu skarbów wawelskich przed zniszczeniem“ w Kanadzie. Kto nie wierzy, że propaganda komunistyczna żerowała w tej sprawie na hysterii emigracyjnej, niech sobie przeczyta choćby „Kurier Polski“ z 18 lutego z wiadomością zatytułowaną „Pałac wilanowski jedzą szczyry“. A to reżimowe pismo mało jest tu czytane, choć współpracownikiem jego jest londyński dziennikarz K. Smogorzewski. Handel prywatny niszczonej zupełnie. Co sędzi o handlu państwowym, wiedzą nasi rodacy z gorzkich codziennych doświadczeń, a my z kawałów krajowych. Przemysł, to oczko w głowie reżimów komunistycznych, jest w cpiakany stan. Stanowczo komunizm nie jest twórczy nawet w dziedzinie materialnej, tak mu chyba najwłaściwszej.

A w dziedzinie moralnej? Nikt chyba, włącznie z samymi władzami dzisiejszej Polski, nie ma złudzeń, że panowanie reżimu jest czysto formalne. Ani uczuć, ani duszy narodu komunizm w Polsce dotąd nie zdobył. I wydaje się mało prawdopodobne, by kiedykolwiek mógł zdobyć.

Słabość komunizmu w Polsce płynie z dwóch źródeł. Pierwsze, to morderczy szal stalinizmu, który w latach przedwojennych wytepił wszystkich wybitniejszych komunistów polskiego pochodzenia, szukających bezkarności po zdradzie u ościennego mocarstwa. A drugie źródło słabości komunistycznej w Polsce, w przeciwstawieniu do pierwszego, na które nie mieliśmy żadnego wpływu, tkwi w samym narodzie polskim. Jest to niezłomne przywiązanie do Polski i polskości.

Jest rzeczą paradoksalną, że antynarodowy ruch, jakim jest międzynarodowy komunizm, chcąc zapanować nad Polską, musiał przybrać się w

szaty narodowe. Te rogatywki na przebranych za Polaków sowieckich oficerach, to salutowanie po skautowski dwoma palcami, te nabożeństwa polowe z „zaszczycającymi“ swoją obecnością Pana Boga, sowieckimi dygnitarzami, te organizacje „księży patriotów“ i „związku patriotów“, owe maskarady pseudo-ludowe to nie tylko groteska. Był to mimowolny i złożony pod przymusem konieczności hołd sile polskości.

Bezpłodność komunizmu wychodzi w Polsce w całej jaskrawości przez to, że masy narodu można mieć tylko wtedy za sobą, gdy odwołuje się do nich nie w imię międzynarodówek, lecz właśnie narodu.

Najsilniejszym cementem ugruntowania władzy Gomułki w październiku 1956 r. były nie takie czy inne zwycięskie rozgrywki w Komitecie centralnym partii, lecz wywołane w społeczeństwie wrażenie, że jego rządy będą różne od sowieckiego komunizmu, bardziej zbliżone do narodowego komunizmu, czy raczej swoistego „polskiego“, komunizmu. Ta nieco irracjonalna i naiwna wiara umożliwiła Gomułce szybkie zdobycie sobie kredytu, którego jego przeszłość nie mogła mu nigdy dać.

Przypuszczalnie do legend trzeba zaliczyć popularne wersje o rzekomym starciu Gomułki z przybyłymi popieszczeni z Moskwy przywódcami sowieckimi. Nie mogli oni bowiem nie widzieć, że Gomułka lansowaniem „narodowych“ hasel ratuje system komunistyczny w Polsce przed takim wybuchem, jaki miał miejsce na Węgrzech. I Sowiety musiały się z tego względu zgodzić na oscylowanie Gomułki między hasłami odpowiadającymi narodowym aspiracjom Polaków i hasłami ortodoksji komunistycznej.

Wzmianka o przemówieniu Gomułki na kongresie partyjnym o bolesnej utracie „nielegalnie“ (?) posiadanego przez nas Lwowa i Wilna, to danina na rzecz wrażliwości patriotycznej Polaków.

Ostrzeżenie zaś delegata sowieckiego, Ignatowa na tymże kongresie, by nie używać „zatrutej broni burżuazyjnej i narodowej ideologii“ (podkr. nasze — red.) to głos komunistycznej ortodoksji.

Te dwa głosy są niezmiernie charakterystyczne. Świadczą one bowiem o tym, że komuniści w Polsce muszą się liczyć z głębokim nurtem narodowym, tkwiącym w masach społeczeństwa polskiego. Siła tego nurtu jest tak wielka, że o nią rozbić się muszą wszelkie próby trwałego ujarznienia Polski.

J. P.

przy czym Polakom dano prawo przy pomocy komitetów pomocy legitymowania swojego pochodzenia i ewentualnego pozostawania nadal w Cesarstwie. Wszystkie komitety zarówno tutaj na kresach, jak i w Warszawie zając się musiały gorliwie tą sprawą w dniach ostatnich.

Informacji politycznych, bliżej nas obchodzących, było mało, zwłaszcza po wybuchu wojny. Po zajęciu Lwowa przez Rosjan zaczęli się zjawiać korespondenci i obserwatorzy z państw koalicyjnych. Jednym z pierwszych gości był Charles Nau-deau, dziennikarz francuski, akredytowany przy sztabie rosyjskim. Udałem się do niego, aby zasięgnąć języka. Mieszkał w hotelu George'a. Było to we wrześniu 1914 roku we Lwowie.

Na pytanie, czy kwestia polska według niego jest kwestią międzynarodową czy też wewnętrzną rosyjską, odpowiedział wymijająco. Zapewniał, że będzie ona załatwiona dla nas korzystnie i doradzał, żeby — broń Boże — Polacy nie pozwolili sobie na minę, że nie wierzą zapewnieniom odezwy W. Księcia Mikołaja. Owszem, jest tylko jedna droga, umacniać wszelkimi sposobami Rosję w honorze dotrzymania.

Plon, jak widzimy był niewielki. Zanotowałem również rozmowę z obserwatorem angielskim.

W początku grudnia złożył mi wizytę profesor z Liverpool, Bernard Pares. Przedstawił się jako korespondent, wydawca „Russian Review“. Bawił przeszło dwie godziny.

Wyznania jego ciekawsze:

1. Zaczyna się w Europie wiek słowiański. Przed Polakami wielka przyszłość.

2. Anglia nie opuści Rosji. Wyrozumiałem z tego, co o Rosji mówił, że Anglia będzie się starała pełnić koło niej tę rolę, którą pełnili Niemcy, ale zainteresowana jest w tym, aby Rosja postępowała w cywilizacji, tudzież tym, aby Polska była mocna.

3. Rosję zna dobrze. Na moje pytanie, czy Rosja (opinia) nie podda się wpływowi żydowskim, które sprawie polskiej są nieżyczliwe, odpowiedział, że partia kadetów nie pójdzie cała za Milukowem — raczej będzie miał wpływ Piotr Struve. W partii jest pęknięcie.

4. Wojna musi być doprowadzona do końca. Nie dotrzeć np. do morza, nie ustalić Polski — jest niepodobnym, bo inaczej wybuchłaby po kilku latach nowa wojna. Za wielkie ofiary na to, by nie kończył.

5. Na moje pytanie, czy w trójporozumieniu nie będzie nieporozumień co do równego udziału w zasługach wojny, czy Rosja nie chłodnie względem Anglii z powodu tego, że nie rozumie jej roli na morzach — odpowiedział, że istotnie w Rosji są głosy źle uświadomione, mające pretensje, że Anglii mało robią, ale się przekonują, że tak nie jest. I wyliczał zaślugi, a to, że niemiecka flota się schowała, to czysty zysk, o którym decydowałoby w innych warunkach wielkie zwycięstwo. Że się to udało bez wojny, to tym lepiej.

W trzy tygodnie — pod koniec

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

# MŁODA INTELIGENCJA ROSYJSKA

**W** NATŁOKU wydarzeń między-narodowo-politycznych i wojskowo-technicznych niemal niezauważona przez szerszą publiczność przeszła bardzo znamienna i ciężarna skutkami sprawa. Sprawa sowiecka, ale mająca już skutki w krajach tak zwanych satelickich. W Polsce na razie tylko słowne. Myślę o reformie szkolnej Chruszczowa.

Sprawa ustroju szkolnego nie jest w Sowietach nowa. Od rewolucji przed czterdziestu laty problem szkoły wciąż nie jest rozwiązany i wciąż pojawiają się reformy na przemian w dwóch sprzecznych kierunkach. W zapale rewolucyjnym chciano zerwać całkowicie ze szkołą burżuazyjną, stworzyć nowy typ szkoły socjalistycznej, proletariackiej i rewolucyjnej. Najłatwiej było zrobić reformy werbalne. Zniesiono gimnazja, sama ich nazwa została wykleta nie tylko w Rosji lecz i we wszystkich demokracjach ludowych. Wprowadzono szkołę jednolitą. Jednolitość była głównie w nazwie, bo zupełnie czym innym jest wiejska czteroklasówka (pełno jej do dziś na naszych ziemiach wschodnich, zwłaszcza w Republice Białoruskiej) a czym innym wielkomiejska dziesięcioklasówka. Ustroju szkolnictwa wyższego nie zmieniono, zachowując carski podział na wiele instytutów i niewiele uniwersytetów. Z treścią poszło trudniej. Eksperymenty szkół związanych z fabrykami, wyrabiających równocześnie umiejętność teoretyczną i sprawność techniczną, nie udały się. Nie powstał typ robotnika-inteligenta. Przeciwnie: z dziesięciolatek poprzez uniwersytety wychodziła nowa inteligencja, zupełnie nie robotnicza. Stworzono natomiast dużo niższych szkół fachowych, które wykształcały typ sowieckiego robotnika wykwalifikowanego.

Odkąd Stalin „ułaskawił“ speców i skończyła się nagonka na inteligencję, zaczęto traktować dziesięciolatek jako wstęp do uniwersytetu. Wobec rosnącego szybko zapotrzebowania na techników z wyższym wykształceniem proces produkcji nowej inteligencji szedł szybko naprzód aż do ostatnich lat. Co pewien czas budziła się reakcja, powstawały projekty nawrotu do szkoły socjalistycznej, robotniczej. Wydawano zarządzenia o „politechnizacji“ szkolnictwa. Widocznie jednak życie niweczyło te zamierzenia. Powstawały nawet instytucje zupełnie z nimi sprzeczne, dowodzące przewagi prądów przeciwnych. Stalin wprowadził szkoły kadeckie, elitarne. Przed paru laty Chruszczow zapowiedział tworzenie szkół internatowych dla uprzywilejowanej przez partię młodzieży. Nigdy nie ogłoszono czy i co

w tej dziedzinie zostało urzeczywistnione.

Tegoroczna reforma chruszczowska jest szersza i prostsza: wprowadza obowiązek pracy w produkcji dla całej młodzieży kończącej szkołę średnią i nawraca do politechnizacji, czyli uczenia rzemiosł technicznych w szkole. Zapowiada raz jeszcze dziesięciolatek dla wszystkich, ale na dużych polaciach Związku Sowieckiego jest to wciąż dalekie od urzeczywistnienia.

Niektórzy tak zwani znawcy spraw sowieckich na Zachodzie usiłowali wyjaśnić całą sprawę prostym zagadnieniem braku rąk do pracy. Wedle nich zmniejszone roczniki wojskowe młodzieży nie są w stanie zaspokoić potrzeb rozrastającego się przemysłu na siłę roboczą. Tezy tej nie potwierdzają dane statystyczne sowieckie, a innych nie mamy. Poza tym zapotrzebowanie na osadników terenów stepowych i na robotników można by załatwić w mniej kosztowny i skomplikowany sposób, na przykład przez ograniczenie przyjmowania do wyższych klas dziesięciolatek. Nie tylko rolnictwo ale i przemysł sowiecki nie jest na takim poziomie technicznym (w rzeczywistości żaden przemysł na świecie jeszcze nie jest) by wymagał narybku w stu procentach posiadającego wykształcenie średnie. Klucz zagadnienia leży w czym innym.

Przed kilku miesiącami prasa sowiecka skarżyła się gwałtownie, że młodzież kończąca dziesięciolatek nie chce iść pracować do fabryk, że pozostaje bez zajęcia i marnuje się. To samo zagadnienie, choć w mniejszej skali, istnieje w Polsce. Jest to zagadnienie maturzystów, dla których nie ma miejsca na wyższych uczelniach. Dlaczego zagadnienia tego nie ma w Ameryce? Piszę o Ameryce, bo jest to kraj, gdzie znaczna większość młodzieży kończy szkołę średnią, tzw. High School. Część z niej idzie potem na wyższe uczelnie, ale większość bez oporu idzie do pracy w produkcji. Szkoła średnia nie jest w Ameryce traktowana jako przygotowanie do uniwersytetu i nawiasem mówiąc nie przygotowuje do niego dobrze. Ale w Ameryce zawsze była szkoła jednolita, w przeciwieństwie do Europy, gdzie przez cały wiek dziewiętnasty była szkoła podwójna: jedna ludowa, dająca wykształcenie elementarne i druga pańska, prowadząca w zasadzie do wykształcenia wyższego. Im dalej na wschód, tym podział ten był kompletniejszy. W Ameryce nie ma także zasadniczego przedziału materialnego między wynagrodzeniem za pracę tzw. fizyczną a tzw. umysłową. Ukończenie szkoły wyższej nie jest awansem ekonomicznym, a ponieważ nie ma w

Ameryce właściwie innych podziałów jak ekonomiczne lub rasowe, więc nie jest w ogóle awansem społecznym.

W Sowietach jest zupełnie inaczej. Uzyskanie wykształcenia wyższego stawia człowieka na zupełnie innej płaszczyźnie ekonomicznej i społecznej niż robotnika, nawet wykwalifikowanego. W Sowietach, w przeciwieństwie do Ameryki, istnieje ostry podział klasowy a kluczem do awansu klasowego jest wykształcenie. Toteż młodzież, która ukończyła szkołę średnią nie chce iść do fabryki, chce iść na uniwersytet albo nigdzie. Na uniwersytetach miejsca nie ma i nie ma nawet potrzeby tak licznych roczników dyplomowanych. Rosja nie jest tak bogata jak Ameryka, by mogła płacić wszystkim tak wysokie płace, aby różnica między wysoko wykształconym a średnio wykształconym stała się drugorzędna. Mogłaby zerwać faktycznie z systemem szkoły jednolitej i kierować gdzieś w połowie szkoły większość młodzieży do niższych szkół technicznych. Ale takich szkół nie ma dość, poza tym byłoby to zbyt jawne przyznanie się do klęski ideowej, do usankcjonowania podziału klasowego.

Sprawa młodzieży sowieckiej, która nie chce być robotnikami tylko inteligentami, to dopiero fragment, strona ekonomiczno-społeczna. Całość zagadnienia jest szersza. Sowiety nie są już tak tajemnicze dla świata zachodniego jak były za Stalina. Sporo korespondentów i nawet turystów jeździło tam w ostatnim roku. Wielu z nich mogło rozmawiać nie tylko z urzędnikami Inturista, dyplomatami i policjantami, ale także ze spotkanymi ludźmi. Otóż wielu z nich zgodnie zaobserwowało zachowanie i reakcje warstwy urzędniczo-inteligenckiej. Warstwa ta żyje na poziomie materialnym nieporównanie wyższym od robotniczego, nie mówiąc już o chłopskim. Prowadzi życie zupełnie odrębne od reszty społeczeństwa. Jest od mas bardziej odcięta niż jakakolwiek warstwa społeczna na Zachodzie.

Rewolucja wyniszczyła dawną arystokrację, a w dużej mierze i inteligencję. Resztki tolerowano zaledwie, w charakterze tzw. speców. Zarząd zakładów przemysłowych powierzono, podobnie jak w ćwierć wieku później w Polsce, tzw. ludziom z awansu społecznego, czyli partyjnym robotnikom. Skutki były gospodarczo opłakane, ale doczekano się nowej inteligencji ludowego pochodzenia. Teoretycznie ta inteligencja nowa miała być częścią klasy robotniczej. Okazało się to zupełną fikcją. W pierwszym pokoleniu nowa inteligencja wyżywała się w zdobycach ekonomicznych i w prestiżu społecznym. Pod względem polity-

cznym była konformistyczna, pozytywistyczna, lojalistyczna. Ale w latach powojennych weszło w życie drugie już pokolenie nowej inteligencji. Ta młodzież nie miała osobistych wspomnień awansu społecznego ani osobistego poczucia wdzięczności do rewolucji i partii. Od dziecka była przyzwyczajona do swego uprzywilejowanego położenia, uważa je za naturalne i nie miała kompleksu winy wobec klasy, z której wyszli jej rodzice. Nie zaabsorbowana w dzieciństwie walką o byt, wyrosła w atmosferze pewnej formalnej kultury, miała sposobność i czas zainteresować się zagadnieniami duchowymi. Jakaż jest ta młoda inteligencja rosyjska drugiego pokolenia porewolucyjnego chowu?

Mamy o tym mnóstwo drobnych i trochę obszerniejszych, relacji: od Polaków, którzy studiowali w Rosji, od tzw. repatriantów, od korespondentów zagranicznych, a także z prasy sowieckiej, która nie zawsze może i chce ukrywać troski, jakie to pokolenie budzi w kierownictwie partii. Wszystkie te relacje dadzą się streścić najogólniej mniej więcej tak: Młode pokolenie inteligencji rosyjskiej jest bardzo patriotyczne, a jednocześnie pełne podziwu i zazdrości wobec Zachodu, o którym wie niezbyt wiele; ucieka od polityki, to znaczy od życia partyjnego i rządowego; ma zainteresowania teoretyczne, filozoficzne, abstrakcyjne i lubi o nich dyskutować godzinami; nie buntuje się przeciw panującemu ustrojowi, ale jest sceptyczna, a raczej może należy powiedzieć niewierząca, jeśli chodzi o jego ideowe i filozoficzne założenia. Obraz, jaki się z tego wyłania jest uderzająco podobny nie do pierwszego pokolenia inteligencji porewolucyjnej ale do inteligencji rosyjskiej sprzed półwiecza.

Żeby zrozumieć jak do tego doszło nie trzeba mistyki narodowej. Młodzież sowiecka wychowana jest na dwóch elementach kulturalnych. Jednym jest tzw. politgramota czyli doktryna bolszewicka. Jest to doktryna zdrętwiała. Młodzież sowiecka nie zna innej. Ale do tej odnosi się tak jak odnosiła się inteligencja rosyjska z końca ubiegłego wieku do prawosławia: z respektem ze względów społecznych, z pełnym powątpiewaniem jeśli chodzi o treść. Drugim elementem kulturalnym jest rosyjska literatura dziewiętnastego wieku. Literatura rosyjska dziewiętnastego wieku jest zjawiskiem fascynującym. Historia mało dostarcza przykładów takiego wybuchu geniuszu literackiego w narodzie przedtem milczącym. Jej szczyty weszły nieodwołalnie w skład dorobku literackiego ludzkości i nie

ma kulturalnego człowieka na świecie, który by nie wiedział o Tolstoju, Dostojewskim, Puszkynie czy Czechowie. Światoburcze zamachy rewolucji bolszewickiej załamały się u stóp Parnasu rosyjskiego. Literatura ta była przeważnie liberalna w duchu. Uznanie zatem, że na swoją epokę była w pojęciu komunistycznym postępowa. Wstawiono na pewien czas na indeks Dostojewskiego, ocenzurowano niektórych innych. Ale zaczęto bić dzieła klasyków w milionach egzemplarzy. Wkrótce dołączono klasyków europejskich do dziewiętnastego wieku łącznie. Te książki są dostępne dla każdego młodego Rosjanina. W zakresie ideowym i politycznym jest odcięty od Zachodu współczesnego, ma tylko oficjalną politgramotę. Inne idee może czerpać tylko z literatury pięknej. A dostępna mu literatura jest dziewiętnastowieczna: patriotyczna i liberalna rosyjska, liberalna i humanitarna zachodnia. Słowem karmi się tym, czym karmili się panowie jego dziadków. A ponieważ istnieje podobieństwo gleby — tysiącletnia Ruś — i podobieństwo położenia politycznego wobec absolutnej władzy, nic dziwnego, że i efekt psychiczny jest podobny.

Ten owoc czterdziestu lat komunizmu nie może budzić zadowolenia u góry partyjnej. To nowe pokolenie musi szczególnie niemieć być takim Chruszczowem, który wyszedł z ludu i całe wykształcenie odebrał w partii, który może jeszcze pamiętać przedrewolucyjną inteligencję rosyjską. Jak związać narastające roczniki inteligencji rosyjskiej z proletariatem, z partią, z prawowiernością ideową? Jak zapobiec odrodzeniu starej Rosji w nowej, technicznie wspaniałej postaci? Jak przeciwdziałać ostatecznemu trwałemu „rozwarstwieniu“ społeczeństwa sowieckiego nie na dwie uznane klasy: robotników i chłopów kolchoźnych, ale na trzy: inteligencji, robotników i chłopów? Zagadnienie jest olbrzymie i z punktu widzenia komunistycznego pierwszorzędne. Zdaje się, że kierownictwo partii z Chruszczowem na czele docenia je. Stąd wysyłanie młodzieży na ziemie stepowe, nałożenie na nią obowiązku pracy produkcyjnej po szkole, nauka technik rzemieślniczych w szkole, dążenie do dania każdemu, a nie tylko dzieciom inteligentkim wykształcenia średniego, popchnięcie większości średnio wykształconych do fabryk. Ale przeciw sobie Chruszczow ma wszędzie, od komitetu centralnego w dół do sekretariatów powiatowych, mocno ustalony, wywieszony w biernym oporze, interes nowej warstwy inteligencjonalnej.

grudnia — prawie to samo mówił w swojej mowie ambasador angielski w Piotrogradzie na bankiecie w klubie. Spostrzegłem, jaka jednostajność i organizacja opinii jest między Anglikami.

Po wizycie Paresa trafił mi się zeszyt „Graphics“, gdzie znalazłem portret Paresa z pierwszego jego pobytu we Lwowie. Było tam napisane, że Pares jest delegatem angielskiego ministerium spraw zagranicznych. Do tego mi się nie przyznał.

Pares mówił mi pochlebne rzeczy o R. Dmowskim, którego znał. „Dla narodu, który w ciężkich kryzysach ma takiego człowieka — to wielkie szczęście“, „niepospolity człowiek, przypomina angielskich mężów stanu“, mówił o Dmowskim. Było mi niezmiernie miło to usłyszeć.

P. Pares odwiedził mnie potem w lecie 1915 w gorszych już warunkach, towarzyszył bowiem armii rosyjskiej, gdy pospiesznie odchodziła z Karpat i w ogóle z Galicji. Brudny był i obdarty. Chodziłem z nim po sklepach, bo niepraktyczny był i prosił o pomoc. Dmowski, któremu p. Paresa informację i komplementy komunikowałem, traktował jego opinię bardzo krytycznie i z ofiarowanych mu usług w Anglii nie chciał korzystać.

Bardzo interesujące były rozmowy z liberałami rosyjskimi, którzy do Lwowa przybywali niewątpliwie z instrukcjami swoich łóz maońskich.

Dn. 6 stycznia 1915 r. złożyli mi wizytę Piotr Struve i prof. Kotlarewski. Bawili parę godzin. Wiele słuchali, informując się.

Było mi przykro, gdy dotknąwszy sprawy Gdańska, skrzywili się.

— To tak się mówi, wziąć Gdańsk, Królewiec; zapewne, my byśmy radzi itd. Ale nie wierzę — mówił Kotlarewski — by to było możliwe. Nerwy ludzkie nie podolają.

Co do ustroju Polski mówili bez zastrzeżeń, że Polska będzie dobudowana do Rosji. Wspólne rzeczy — to wojsko, dyplomacja, podatki pośrednie, układ tariff kolejowych. Reszta — samorząd.

Na moje pytanie o Żydów, liberali obaj mówili o nich niechętnie, krzywił się, dowcipkowali, że należałoby im oddać Wrocław — Śląsk i tam ich osobno osadzić; ale zaznaczali, delikatnie, że antysemityzm Polaków razi postępowych Rosjan i ochładza ich do Polaków. Zgodzili się jednak że mną, że oni znają Żydów w teorii, a my w doświadczeniu.

Zgodzili się na myśl Grabskiego, żeby urządzić zetknięcie we Lwowie po świętach, Polaków wybitniejszych z przybyłymi Rosjanami (Maklakow, Stachowicz). 15 stycznia mieliśmy spotkanie z przedstawicielami ziemstw w mieszkaniu Pawlikowskiego. Byli obecni: hr. Olsufiew, bar. Meller-Zakomelskij, Chomiakow, Wyrubow; z Polaków przyjezdnych — Maciej ks. Radziwiłł, Wielowieyski. Z miejscowych — Jan Gwalbert Pawlikowski, Stanisław Grabski, Józef Milewski. Leonard Stahl, Władysław Michejda, Jan Pieracki.

18 stycznia w mieszkaniu Pierackiego zebrał się Grabski, ja, Milewski, Pieracki, Głazewski, a z

Rosjan byli — Struve, Kotlarewski, Zajców i jeszcze ktoś. Rozmowy były informacyjne. Wszyscy zapewniali, że zasadniczo zmieniły się stosunki z Polakami.

Wątpliwości co do Gdańska.

W czerwcu już wiadomym było, że Rosjanie opuszczają Galicję. Odwrót był pospieszny. Położenie moje ze „Słowem Polskim“ i całej naszej grupy stawało się coraz trudniejsze. Żywioły austrofilskie podnosiły głowę, nie tajono pogródek w naszą stronę. Później dowiedzieliśmy się, że gotowe były listy naszych ludzi, którzy będą po powrocie Austrii straceni. Na mnie rzucono oskarżenie o zdradę tajemnic wojskowych albowiem w „Słowie Polskim“ drukowałem zarys historyczny o twierdzy w Przemyślu. Groziło niebezpieczeństwo, że odcięci będziemy od wschodu, ponieważ z powodu ewakuacji wojsk pasażerski stanął. Zonę zdołałem wyprawić do Kijowa, zostałem z synem, który chodził do szkół, planując exodus na ostatnią chwilę wraz z przyjaciółmi i współpracownikami, jeżeli się uda, furmankami.

Postanowiliśmy w porozumieniu ze współnikami wydawnictwa zamknąć „Słowo Polskie“ z chwilą wkroczenia wojska austriackiego. Spisaliśmy odpowiedni protokół. Na straży domu i dobytku miał zostać administrator Medycki. W ostatniej chwili prosił mnie on, abym mieszkanie opróżnił, obawiał się bowiem pogromu.

\* \* \*

W dniu 19 czerwca wydałem jeszcze dwa numery dziennika jak zwykle. W ostatnim pożegnałem się z czytelnikami. Na nocne wydanie pozostał jeszcze wierny współpracownik Wacław Nake-Nakeński i wydał numer ostatni z dnia 20 czerwca. Znalazło się tam doniesienie, że redakcja w nocy Lwów opuściła.

Tak się istotnie stało. A jak się stało, o tym opowie notatka, którą zachowałem i którą powtórzę w całości. Będzie to kartka z dziejów wielkiej emigracji uchodźczej na wschód przed zalewem germańskim.

Za miastem, na Persekówce, było ogrodzone pole, na które Rosjanie spędzili rekwirowane konie. Stada te zagłodzone teraz porzucono. Stanisław Biega, znany działacz nasz, współpracownik „Słowa Polskiego“ zajął się sporzędzeniem z tego materiału potrzebnych nam zaprzęgów. Znalazło się sześć par koni, wózków i spośród naszej młodzieży siedmiu woźniców. Skądś wzięto powóz dla Pawlikowskiego Jana, poza tym wózek z koniem Stanisława Grabskiego, mającego na Wólce swoje gospodarstwo.

Wieczorem 19 czerwca wszystko to zjechało przed dom, gdzie mieszkał Hieronim Wierzyński, współpracownik „Słowa Polskiego“, tam załadowaliśmy bagaże i wyruszyliśmy w drogę.

Noc była ciemna, zdenerwowanie wielkie. Ruch ewakuacyjny na ulicach płatał nasze wozy. Łuny pożarów potęgowały ciemność. Wyjechaliśmy przez rogatkę Łyczakowska na Winniki w kierunku Złoczowa. Po

drodze zatrzymywały nas patrole przy biwakach. Z trudem trzymaliśmy się szeregu, bo konie i uprząż różnej były wartości, a woźnice niefachowicie źle pozapręgali. Pierwszy popas w Woroniakach rado, gdzieśmy dopiero poznali ich jezdie.

W niedzielę 20 czerwca po południu stanęliśmy w Złoczowie. Część furmanek pojechała według wskazówki dra Gawlikowskiego za miasto, gdzie nocowano w osadzie leśnej Zazuli. My starsi nocowaliśmy u dra Gawlikowskiego; Pawlikowski i ja. W poniedziałek pojechaliśmy i my do Zazuli i tam przenocowawszy, ruszyliśmy rano 22 czerwca do Brodów na Podhorze (zwiedzanie). Pod samymi Brodami w Pasiekach znaleźliśmy gościńnię dla wszystkich, zajmując parę domów, wynajmowanych na letniska. Przebyliśmy tam od 23 do 26 czerwca. Obok w lesie, jak mi potem pokazano, była kwatery generał-gubernatora hr. Bobrńskiego ze sztabem, który również w nocy z 19 na 20-go wyjechał ze Lwowa. Brody przeladowane były wojskiem i ewakuowanymi rzeczami. Słychać było całą drogę huk armatni i tutaj także. Czas spędzaliśmy względnie wesoło, było bowiem trochę młodzieży uniwersyteckiej, Tadziki (syn mój), Bolek Biega, Michał Pawlikowski, Kazio Wolski, Bator, Wierczak Karol, Latański i trzy kobiety: Wierzyńska, Michałowa Pawlikowska i pani Marokiniowa. Pawlikowski Jan ojciec w złym stanie zdrowia był przedmiotem szczególnej troski. (c.d.n.)

FRANCISZEK STRZAŁKO

## Dwie wystawy abstrakcjonistów polskich

W ciągu mniej więcej jednego roku widziałem dwie wystawy zagraniczne polskich malarzy abstrakcjonistów. W grudniu 1957 roku oglądałem w Paryżu, w Galerie Denise René, wystawę pod tytułem „Précourseurs de l'art abstrait en Pologne”; w styczniu zaś i w lutym bieżącego roku miałem sposobność zwiedzenia w Monachium niedużej, lecz bardzo ciekawej wystawy, na której zdecydowaną większość stanowili przedstawiciele młodej generacji plastyków w Kraju. Wystawa paryska była pokazem sztuki abstrakcyjnej pionierów, monachijska ukazała nam drugie pokolenie.

Abstrakcjonizm polski ma dawne i bardzo szacowne tradycje. Jednak sprawa jego początków jest przedmiotem pewnej kontrowersji. Chodzi mianowicie o narodowość Kazimierza Malewicza, jednego z najznakomitszych prekursorów sztuki abstrakcyjnej i twórcy tak zwanego suprematyzmu. Jak twierdzi Julian Przybóś, językiem macierzystym Malewicza był polski; brat jego mieszkał w Polsce; w czasie pobytu w Polsce w roku 1927 Malewicz napisał po polsku rozprawę o nowej sztuce, zamieszczoną w czasopiśmie „Blok”; wygłaszał odczyty i w ogóle włączył się w nasze życie artystyczne. Z drugiej jednak strony nie można zamykać oczu na fakt, że Malewicz całe prawie życie spędził w Rosji i tam powstały pierwsze jego kreacje, kładące podwaliny nowego malarstwa. Po pobycie u brata w Polsce, gdzie dużo malował, wrócił on jednak do Rosji i tam umarł. Zdaje się więc, że trudno byłoby uznać jego sławny „czarny kwadrat na białym tle”, powstały w roku 1913, jako początek polskiej sztuki abstrakcyjnej. Datę narodzin polskiego abstrakcjonizmu należałoby przesunąć chyba o 10 lat, to jest mniej więcej do roku 1923, gdy zaczęły powstawać pierwsze kompozycje „unistyczne” Władysława Strzemińskiego, przyjaciela i ucznia Malewicza, który jednak poszedł zupełnie własnymi drogami, niezależnymi zarówno od Malewicza jak i od zachodnio-europejskich kierunków. Równocześnie ze Strzemińskim tworzyli w duchu czystej abstrakcji jego żona, Katarzyna Kobro, rzeźbiarka, i Henryk Berlew, twórca tak zwanego mechano-faktury, zamieszkały obecnie w Paryżu (Strzemiński oboje już nie żyją). Nieco później, jak się zdaje, bo dopiero po roku 1930, występują na widownię Henryk Stażewski, ostatni żyjący dziś jeszcze w Kraju przedstawiciel tej grupy pionierów. Ich to dorobek ukazała wystawa paryska z końca 1957 roku, jedna z najciekawszych wystaw sztuki XX wieku, jakie w ogóle w Paryżu oglądałem. To nie był pokaz artystów, którym „nieobce były najnowsze prądy”, jak to się utarło u nas mówić i to w sensie pochwały. To była wystawa autentycznych twórców; artystów, którzy dali światu coś od siebie, coś czego przed nimi nie było. To nie byli doganiacze prądów czy „izmów”, lecz ludzie, którzy sami nowe prądy

tworzą, lub przynajmniej tworzyć powinni. I tu właśnie dochodzimy do pytania, które narzucało mi się, gdy oglądałem monachijską wystawę młodego pokolenia polskich abstrakcjonistów: czy twórczość ich była wynikiem naszego własnego, wewnętrznego rozwoju, czy byli oni kontynuatorami przełomu, zapoczątkowanego tak świetnie przez Strzemińskiego, Malewicza, Berlewiego, Stażewskiego i innych prekursorów, czy też po prostu umiejętnie włączyli się do współczesnych im kierunków artystycznych na zachodzie Europy, z chwilą, gdy zaistniały po temu sprzyjające warunki?

Na pytanie to wystawa monachijska nie dostarczała właściwie odpowiedzi. Oczywiście obrazy mówiły dużo za siebie, ale to nie wystarczy. Katalog nie dawał żadnych informacji o wystawach poza datą urodzenia, miejscem zamieszkania i wzmianką o dotychczasowych wystawach. Przejrzałem roczniki warszawskiego „Przeglądu Artystycznego” i krakowskiej „Plastyki” by zdobyć informacje o wystawach, ale bez rezultatu. W naszej prasie krajowej znaleźć można czasem tasiecowe artykuły o niektórych artystach, ale z reguły — żadnej i n f o r m a c j i. Ani słowa o tym, gdzie i u kogo dany artysta się uczył, co zwiedził, jacy artyści, dawni i współcześni, najsilniej do niego przemówili itd. A przecież dopiero po zapoznaniu się z tymi danymi można ustalić należycie rodowód malarski jakiegokolwiek artysty.

Trzeba podkreślić, że krytyka zagraniczna na ogół chce widzieć więź między pierwszym i drugim pokoleniem abstrakcjonistów polskich. W przedmowie do katalogu paryskiej wystawy polskich prekursorów abstrakcjonizmu Jean Cassou, dyrektor muzeum sztuki nowoczesnej w Paryżu, podkreśla związek między poczynaniami najnowszej naszej generacji a twórczością pionierów z lat dwudziestych („Si les jeunes artistes polonais d'aujourd'hui se portent avec tant d'ardeur vers les recherches de l'art abstrait... ce n'est pas... seulement sous la pression d'une mode qui a pris un caractère international. C'est aussi parce qu'ils retrouvent, sans peut-être en avoir clairement conscience, des aspirations proprement polonaises...”). W prospekcie wystawy monachijskiej Rolf Seeliger przypomina powstanie grupy abstrakcjonistów „Blok” „po pierwszej wojnie światowej”, zaś „Münchener Merkur” z 8 stycznia 1959 podkreśla, że „...malarstwo abstrakcyjne bynajmniej nie jest w Polsce politycznym importem. Po prostu wyszła na powierzchnię rodzima sztuka lat 20...”. Oczywiście prądy artystyczne okresu niepodległości nie mogły pojsć u nas w zapomnienie, czy jednak możemy mówić o ciągłości rozwojowej w pełnym tego słowa znaczeniu? O takiej ciągłości choćby, jaka była udziałem naszej sztuki dekoracyjnej w latach 1901—1939?

Jakkolwiek wypadłaby odpowiedź na to pytanie, jedno można było stwier-

dzić z całą pewnością: siedmiu malarzy polskich, których 28 obrazów wystawiono w Monachium, dobrze na ogół zaprezentowało nasz współczesny dorobek artystyczny. A jeśli się zważy długie lata naszej izolacji i niezwykle ciężkie warunki pracy — to uznać trzeba, że nawet bardzo dobrze.

Wśród pokazanych w Monachium obrazów zwraca uwagę brak abstrakcji geometrycznej. Jedyne kompozycje Kajetana Sosnowskiego, utrzymane w bardzo jasnych barwach, grą swoich linii nawiązują jakby do geometryczno-linearnych układów Henryka Stażewskiego, seniora abstrakcjonistów polskich (przypominają one zresztą Stażewskiego również pod względem kolorytu). Jest to jednak jakby „Stażewski odgeometryzowany”, jeśli można się tak wyrazić. Sosnowski, liczący już około 46 lat, reprezentuje odłam artystów, którzy dojrzewiali jeszcze w warunkach przedwojennych. Należy do nich również Alfred Lenica urodzony w 1899 roku, a więc rówieśnik niemal Stażewskiego i Berlewiego. Lenica jest przedstawicielem czystego tasyzmu (od francuskiego słowa „tache” — plama), który cieszy się dziś w Polsce takim powodzeniem. Wyróżnia się on na tej wystawie kolorystycznym ujęciem swych dużych kompozycji, na których zazwyczaj jakaś jedna barwa stanowi dominantę. Przypomina on zmarłego w roku 1951 paryskiego malarza Wolsa. Jednak wobec nieinformatywnego charakteru naszej prasy artystycznej niesposób jest ustalić, czy w grę wchodzi tu bezpośrednio wpływy, czy też mamy do czynienia z przypadkowym jedynie podobieństwem.

Pośród pozostałych malarzy żaden nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Na szczególną uwagę zasługują Marian Bogusz i Rajmund Ziemiński. Pierwszemu nie obce jest, jak się zdaje, dziedzictwo Strzemińskiego i jego współczesnych, ale malarstwo jego zupełnie odbiega od pierwszych poczynanń abstrakcjonizmu w Polsce. Bogusz jest malarzem, który umie posługiwać się barwami: gdy umieści np. na obrazie plamę żółtą, jest ona widoczna, nawet jeśli będzie to tylko niteczka w tym kolorze. Niektóre kompozycje jego przypominają Pawła Klee (wielokrotnie reprodukowany „Flussbaulandschaft” z Karlsruhe), ale oczywiście może to być zbieżność zupełnie przypadkowa. Ziemiński, najmłodszy spośród wystawców (29 lat), również zaprezentował wysoką klasę, jeśli chodzi o wyczuwanie barwy. Pod tym względem był to może najbardziej uzdolniony artysta tej grupy. Kompozycje jego wyróżniały się na wystawie intensywnością barw i ich doskonałymi zestawieniami.

Prasa niemiecka szeroko rozpisywała się o wystawie, nie szczędząc wyrazów uznania. Natomiast jedna z recenzji bawarskiego radia była bardziej powściągliwa. Jej autor dowodził, że poza momentem znaczenia politycznego wystawa nie przedstawiała nic szczególnego. Z takim stanowiskiem nie można się zgodzić. Oczywiście fakt, że w Polsce maluje się inaczej, niż w Sowietach, ma niewątpliwie wymowę polityczną, ale z drugiej strony okoliczność, że robi się to w naszych warunkach nie gorzej, niż gdzie indziej (a czasami może i lepiej), ma już znaczenie artystyczno-formalne.

Na wystawie monachijskiej ujrzałyśmy tylko siedmiu malarzy, ale choć brakło na niej wielu znanych artystów, uznaję ją możemy w pewnym sensie za reprezentatywną dla dzisiejszej sztuki w Polsce i dla naszych zadatków na przyszłość. Komuniści ogłosili dziedzinę plastyki jako teren neutralny i artyści natychmiast sięgnęli po wolność. Gdyby Polska była wolna także i pod innymi względami, na pewno nie malowano by dziś u nas inaczej.

## MIECZYŚLAW KARŁOWICZ

W lutym br. przypadła pięćdziesiąta rocznica tragicznej śmierci Mieczysława Karłowicza, jednego z najwybitniejszych kompozytorów polskich.

Tak się złożyło — zapewne m.in. wskutek jego zbyt krótkiego życia i następujących w kilka lat po jego zgonie wypadkach wojennych (pierwsza wojna światowa) — że utwory Karłowicza, z wyjątkiem może pieśni, są mało szerszemu gronu rodaków znane. A tymczasem Karłowicz był niepospolitym w dziejach polskiej twórczości muzycznej zjawiskiem i, gdyby nie przedczesna śmierć, w trzydziestym trzecim roku życia, zostawiłby po sobie bogatą niewątpliwie spuściznę i zajął jedno z czołowych miejsc wśród kompozytorów o skali światowej.

★

Mieczysław Karłowicz przyszedł na świat 11.12.1876 w majątku Wiszniewa w powiecie wileńskim, należącym do jego rodziców. Już od małości chłonał atmosferę muzyczną, jaką przepojony był jego dom. Ojciec Jan był nie tylko filologiem i historykiem, ale także teoretykiem muzycznym i praktykiem, grał na wiolonczeli. Matka Irena z Sulistrowskich interesowała się śpiewem. Podróż z rodzicami za granicę dostarczały małemu wówczas jeszcze Karłowiczowi wiele nowych i bogatych wrażeń artystycznych. W Heidelbergu uczył się grać na skrzypcach u Rosenkranza. Po powrocie do kraju uczęszcza do gimnazjum Górskiego w Warszawie i kontynuuje lekcje gry skrzypcowej u Jankowskiego oraz u znakomitego wirtuoza i pedagoga Stanisława Barcewicza. Zaczyna również naukę kompozycji pod kierunkiem wybitnego kompozytora, a ucznia Moniuszki, Zygmunta Noskowskiego. Wkrótce zaczyna koncertować. Ukazują się też pierwsze jego kompozycje: „Scherzando”, „Menuet” na instrumenty smyczkowe, pieśni. Te ostatnie pisze do słów Kraszińskiego, Słowackiego, Asnyka, Tetmajera, Konopnickiej.

U Aleksandra Michałowskiego uczył się gry na fortepianie. W 1895 r. wyjechał na lat sześć do Berlina na wyższe studia kompozycji u H. Urbana. W tym okresie kompozycje Karłowicza zaczynają wchodzić do programów koncertowych w Warszawie i Berlinie. Otwarcie Filharmonii Warszawskiej w 1901 r. ściąga do Warszawy licznych kompozytorów. Karłowicz dyryguje wykonaniem przez orkiestrę Filharmonii swej „Serenady”, symfonii „Odrodzenie”, koncertu skrzypcowego A-dur oraz poematu symfonicznego „Powracające fale”. Zostaje wybrany do zarządu Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego i, wspólnie z Ludomirem Różyckim, Karolem Szymanowskim, Apolinarem Szelutą, jak i on zgrupowanie kompozytorskie pod nazwą „Młoda Polska”. Raz jeszcze, w 1906 r. udaje się za granicę do Lipska na kurs dyrygowania u sławnego Nikischa. W r. 1907 osiedla się wraz z matką w Zakopanem. Wybór miejsca tego nie był przypadkowy. Karłowicz poza muzyką

miał jeszcze jedną pasję, taternictwo. W Zakopanem zapisuje się na pierwszy kurs marciarski pod kierownictwem Mariusza Zaruskiego. Robi stąd wypad, głównie na koncerty, do Wiednia, Warszawy, Lwowa. Komponuje. W Warszawie dyryguje wykonaniem swych „Odwiecznych pieśni”. Był to jego ostatni koncert. W kilka dni potem, 8 lutego 1909 r. udaje się na samotną wycieczkę harciarską w góry. Zasypuje go lawina śnieżna, obsuwająca się ze stoku Małego Kościelca. Zwiłki odnaleziono dopiero w dniu 11 lutego, po trzydniowych nieustannych wysiłkach. Odnalezione przy nim narty użyte zostały jako noże. Mimo wysiłków kilku wybitnych lekarzy nie udało się przywrócić go do życia. Wstrząsający opis tego wypadku zamieścił w „Taterniku” Mariusz Zaruski, kierownik akcji ratunkowej i przyjaciel kompozytora.

★

Twórczość muzyczna Karłowicza i jej ocena wymagają osobnego, obszarnego dzieła. Krótkie ramy wspomnienia o nim pozwalają na poczynienie jedynie krótkich, a zatem pobieżnych i niedoskonałych uwag.

Karłowicz początkowo pisał swe utwory w stylu tradycyjnym. W miarę jednak rozwoju twórczego dotychczasowe metody i środki kompozycyjne zaczynały mu nie wystarczać. Współ z innymi członkami „Młodej Polski” szuka nowych sposobów wyrażenia treści muzycznej twórców swego ducha. Wydatny wpływ wywierają na te poszukiwania sposób instrumentacji i nowe środki techniczne zastosowane przez Ryszarda Straussa. Podobnie jak Chopin, w muzyce fortepianowej, nie mogąc zmieścić się w starych formach, dokonał istnego przewrotu w technice i środkach harmonicznym, tak i kompozytorzy z „Młodej Polski”, zachowując oczywiście wszelkie proporcje w porównaniu, do muzyki orkiestralnej wnieśli szereg gruntownych zmian. W utworach ich zaznacza się z całą siłą pierwiastek subiektywny, powodując rozluźnienie, bardziej swobodne traktowanie dotychczasowych form muzycznych. Wprowadzenie pierwiastków uczuciowych, a obok tego — motywów rodzimych, ludowych nadaje ich utworom charakter narodowy.

Osobowość Karłowicza jako twórcy znajduje swój pełny wyraz w cyklu poematów symfonicznych: „Powracające fale”, trylogii „Trzy odwieczne pieśni”, „Rapsodi Litewskiej”, „Stanisław i Anna Oświęcimowie”, „Smutne opowieści”. Obok bogactwa treści, liryzmu i melodyki narodowej, utwory te zdumiewają mistrzostwem instrumentacji, szczególnie w „Oświęcimach”. „Smutna opowieść” jest silnie dysonansowa, co podkreśla nastrój wymieniony w jej nazwie. Muzyki Karłowicza nie da się opisać, trzeba ją słyszeć.

Jakby przeczuwając swój rychły zgon, sporządził on na trzy miesiące przedtem testament, w którym cały pokaźny swój majątek (około 100 tys. rubli) zapisał Warszawskiemu Towarzystwu Muzycznemu.

K. Harasimowicz

## ZJAZD STUDENTÓW W PARYŻU

Na dorocznym Walnym Zebraniu Stowarzyszenia Studentów Polskich we Francji, w dniu 15 lutego br. wybrano nowy zarząd w składzie następującym: prezes — K. Prewysz-Kwinto, wiceprezesi — M. Zaleska, R. Majcherczyk, sekretarz — T. Malinowska, skarbnik — J. Wodzicki, B.I.P. — H. Syberg-Platekówna, członkowie Zarządu — T. Strzałkówna, M. Werno.

Dotychczasowemu prezesowi Zarządu p. M. Werno, w uznaniu zasług dla Stowarzyszenia, Walne Zebranie nadało tytuł Prezesa Honorowego.

Walne Zebranie Stow. Stud. uchwaliło rezolucję w sprawie „Biblioteki Polskiej” w Paryżu:

„Biblioteka Polska w Paryżu — stwierdza rezolucja — dzięki swym tradycjom oraz cennym zbiorom, zwłaszcza z zakresu historii i literatury polskiej jakie posiada, stanowi jedno z głównych ognisk naszej kultury na obczyźnie.

Wobec straszliwych zniszczeń jakich doznała, wskutek najazdu niemieckiego i sowieckiego biblioteki, archiwa i zabytki w Kraju, wartość zbiorów zgromadzo-

nych w Bibliotece paryskiej nabiera szczególnego znaczenia.

Niestety rząd warszawski, który nie reprezentuje interesów polskich, lecz służy sprawie komunizmu światowego, nie daje żadnej rękojmi uszanowania polskiego charakteru i obiektywizmu naukowego Biblioteki. Odwrotnie, powszechnie znane fakty świadczą, że komuniści usiłują fałszować nawet naukę, a w szczególności, z całym cynizmem fałszują własnie historię i literaturę naszą. Z majwspamiarszych ich pomników czynią narzędzie swej przewrotnej propagandy.

Toteż wierzymy, że Francja, kraj wolności, szanujący wolność innych, nie odmówi prawa azylu Bibliotece Polskiej, tym szczałkom skarbów duchowych bratniego narodu. Wierzymy, że dziś, kiedy komunizm dla niej samej stanowi tak groźne niebezpieczeństwo, nie odmówi tego prawa księgom Mickiewicza i Słowackiego, pamiętkom po Poniańskim i Dąbrowskim; tak, jak nie odmawiała go im w wieku XIX i na początku XX, nawet w okresie przymierza z Rosją carską.”

W nowym JUBILEUSZOWYM cenniku TAZABA znajdziesz WSZYSTKO co jest potrzebne w KRAJU

czy to będzie oeska do ostrzenia kosi; samochód lub zestaw płyt do Linguaphonu; każde lekarstwo każdej fabryki i każdego kraju; warsztat dla stolarza lub mechanika; kupon najlepszego kamgaru; świetne boty futrzane; furt włóczki lub pięć funtów bananów; pasta Kiwi; maszynna trykotarska lub para rękawiczek WSZYSTKO! WSZYSTKIEGO DOSTARCZY CI W POLSCE NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY NA ŚWIECIE

## TAZAB

TAZAB HOUSE  
22 Roland Gdns.  
London, S.W.7.  
FRE 3175/76

TAZAB OF LONDON  
36 Third Avenue  
New York 3, N.Y.  
tel. ALgenquin 4-4161

TAZAB OF LONDON  
327 Collins Street  
Melbourne, C.1.  
MB 1314

PROSIMY  
ODNOWIĆ  
PRENUMERATĘ